

ZOSTAŁAM »ZASZUFLADKOWANA«

— ZNÓW „ZŁOTY EKRAN” trafiła do Krakowa; myślę, że rozmawiając z uznaną aktorką Teatru Starego, nie powinnam pominąć pytania odnoszącego się do Pani scenicznego debiutu.

— Skoro sięgamy pamięcią wstecz, to aż... do pierwszego roku studiów w krakowskiej PWST. Wtedy bowiem po raz pierwszy zagrałam w sztuce Gibsona „Cud w Alabamie” — reżyserowanej przez Władysława Krzemińskiego. Zaraz potem w realizowanym przez Wajdę „Weselu”, no i w filmie — główna rola w „Drewnianym różańcu”.

— Start, o jakim można sobie chyba tylko marzyć?...

— To prawda. Tym bardziej, że były to rzeczywiście moje pierwsze kroki na scenie także i w szkole.

— Czy znaczy to równocześnie, że od razu Panią „odkryto”, poznano się na Jej talencie?

— Ach, nie! Zwyczajny przypadek zdecydował o powierzeniu mi aktorskich zadań Krzemiński na przykład długo poszukiwał do „Cudu” dziewczynki wśród amatek (zresztą moją rolę dublowała 9-latka) Rozpoczął również poszukiwania wśród studentek. Ja nawet o tym nie wiedziałam, gdy któregoś dnia zostałam wezwana do gabinetu profesora. — „Zdejm buty i stań obok mnie” — usłyszałam Przerazona, wykonałam polecenie. Potem dopiero dowiedziałam się w, czym rzecz. Podobnie zresztą było z „Weselen” i „Drewnianym różańcem”. Mój dziecięcy wygląd i niski wzrost decydowały tu o wyborze.

— Jakby patrzeć na Pani debiut, to jednak były to role znaczące. Czy ów fakt nie rzutował w jakimś stopniu na kontynuowanie studiów, czy — mówiąc wprost — nie „poprzerwacał” młodej adepcie sztuki w głowie?

— W żadnym wypadku. Przeciwnie — zdawałam sobie sprawę, iż to dopiero początek drogi, na którą wkraczam. No a poza tym, jeśli mam być szczerą, to owe występy w teatrze i filmie ściśle powiązały się z kłopotami i nieprzyjemnościami; koleżanki i koledzy po powrocie do szkoły (straciłam fok studiów) przyjęli mnie nieufnie, obawiając się właśnie owego „wymadrzania”. Dobrze, że okres ten trwał krótko. Zresztą powiem uczciwie — ja stawiałam na szkołę.

— Czy wczesny kontakt ze sceną pomógł Pani w studiach?

— Na pewno.

— Często spotykam się w rozmowach z aktorami z opinią, jakoby szkoła teatralna niewiele w sumie dawała. Mówią wręcz: jedynie gra, jedynie ciągłe praktykowanie...

— Nie podzielałam tych opinii. Proszę sobie wyobrazić, że po tym „Cudzie w Alabamie” czy „Weselu” miałabym zostać od razu w teatrze. Tę ja bym w życiu nie innego grać nie potrafiła, jak tylko... siebie. Szkoła dużo daje. Pewnie, że dałaby znacznie więcej, gdyby działała przy teatrze...



— W „Twarzach teatru” — telewizyjnym programie Krzysztofa Miklaszewskiego — sporo mówiło się o tym, że Pani nie jest w pełni wykorzystywana przez teatr.

— W tym jest sporo prawdy. Tak naprawdę, to zostałam „zaszuffadkowana”...

— ...czyli zakwalifikowana niemal etatowo do ról wyłącznie tragicznych...

— Być może wynika to z faktu, iż gram za mało? Ale to już nie zależy ode mnie — ja bym chciała grać, i to jak najwięcej. Na dodatek sprawdzać się w innych nie tylko dramatycznych rolach. Tak jak to kiedyś było w „Rozmaitościach”. Grałam wówczas i w komedii, i w farsie, w śpiewogrze... Czy

robiłam to dobrze? Nie wiem, ale to już inna sprawa. Wiem natomiast, że miałam szansę.

— A dlaczego Teatr Stary Pani tej szansy nie stwarza?

— To pytanie, którego akurat aktorowi zadawać nie należy. Nie wiem. Być może, że nikt mnie nie widział w tamtych rolach, albo ich nie pamięta? Choć z drugiej strony, to i u Konrada Swinarskiego startowałam przecież w „Śnie nocy letniej” grając postać nie mającą nic wspólnego z tymi, które aktualnie kręją na scenie.

— Czy ma Pani możliwość sugerowania reżyserowi roli, którą by właśnie chętnie zagrała w przygotowywanym spektaklu?

— Skądże! Zaden aktor takich możliwości nie ma. Obsada „się ukazuje”. W końcu to właśnie reżyser widzi ostateczny kształt spektaklu, on jest jego głównym twórcą.

— Czy ma Pani swoją ulubioną rolę? — Muszę powiedzieć, że na ogół lubię to, co robię. Ale też muszę dodać, że są momenty, kiedy mam wszystkiego dosyć. Właśnie przez to „zaszuffadkowanie”. Z największą przyjemnością występuję jednak w „Dziadach”, „Biesach”, „Wiśniowym sadzie”, „Weselu” no i ostatnio jako Emilka w spektaklu Wajdy „Z biegiem lat...”.

— A jak Pani widziałaby się w sztukach współczesnych?

— Trudno mi nawet odpowiedzieć na to pytanie. Ja w nich po prostu nie gram! Ale na pewno chciałabym spróbować. Być może dlatego tak bardzo bałam się, a równocześnie cieszyłam, z powierzenia mi innej, bo charakterystycznej roli Emilki.

— W ilu filmach Pani zagrała?

— Jeszcze w „Dagny”, „Kapitanie Sowie” i epizodyczną rolę w serialu telewizyjnym „Noce i dnie”.

— Pytam o film, bo może właśnie tu udałoby się Pani „wyjść” z klasycznego kostiumu?

— Może ja nie jestem typem współczesnej dziewczyny, kobiety?...

— Czy dużo proponowanych ról odrzuciła Pani w ciągu jedenastu lat pracy na scenie?

— Chyba tylko jedną.

— Po trzech latach pracy w Teatrze „Rozmaitości” zdecydowała się Pani na zmianę placówki. W roku 1970 z boku znakomitych aktorów stanęła Pani na scenie Teatru Starego. Jakże było to „wejście” do nowego teatru?

— Ciężkie. Choć pięknie się zaczęło — właśnie „Śnem nocy letniej” w reżyserii Swinarskiego — to jednak cały czas zdawałam sobie sprawę, iż muszę zmierzyć się z dużej klasy aktorami. W Teatrze „Rozmaitości” miałam już wyrobioną pozycję — tu, żadnej. Razem z Jurkiem Trelą (bo właśnie oboje w tym czasie zmieniliśmy teatry) pokonywaliśmy więc trudne prógi. Tak, to było i kuszące, i przerażające. Wiedziałam też jedno: ratować się za wszelką cenę, by nie utonąć. Konkurencja w Teatrze Starym zawsze jest dopingiem.

Rozmawiała:

TERESA BĘTKOWSKA